

DIALOG



Anita Desai

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

Czas postu,
CZAS UCZTY

Anita Desai

Czas postu,
czas uczy

Przełożyła
Magdalena Paśnikowska

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

Wydawnictwo Akademickie

DIALOG 

Tytuł oryginału

Fasting, Feasting

Copyright © 1999 by Anita Desai. All rights reserved

© Copyright for the Polish edition and translation by

Wydawnictwo Akademickie DIALOG

Redaktor prowadzący

Elżbieta Walter

Redakcja i korekta

Barbara Stahl

Konwersja do EPUB/MOBI

InkPad.pl

Okładka

Kinga Walter

Na okładce obraz Madhuri Phalnikar Bhaduri

„Looking behind”, „India Perspectives” 1996

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

ISBN epub 978-83-8002-434-2

ISBN mobi 978-83-8002-435-9

Wydawnictwo Akademickie Dialog

00-112 Warszawa, ul. Bagno 3/218

tel./faks 620 87 03

e-mail: redakcja@wydawnictwodialog.pl

<http://wydawnictwodialog.pl/>

Spis treści

O AUTORCE

CZEŚĆ PIERWSZA

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

CZEŚĆ DRUGA Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty

Rozdział dwudziesty

Rozdział dwudziesty pierwszy

Rozdział dwudziesty drugi

Rozdział dwudziesty trzeci

Rozdział dwudziesty czwarty

Rozdział dwudziesty piąty

Rozdział dwudziesty szósty

Rozdział dwudziesty siódmy

Anita Desai – jedna z najbardziej znanych współczesnych pisarek indyjskich piszących po angielsku – urodziła się w 1933 roku w Indiach w rodzinie Bengalczyka i Niemki. W swoim dorobku pisarskim ma powieści, opowiadania i utwory dla dzieci. Powieść *Czas postu, czas uczy*, jak też dwie inne: *Clear Light of Day* i *In Custody* kandydowały do nagrody Bookera. *In Custody* doczekało się adaptacji filmowej. Powieść *Fire on the Mountain* otrzymała nagrodę Winifreda Holtby'ego, przyznawaną przez Królewskie Towarzystwo Literackie w Londynie.

Anita Desai jest członkiem Królewskiego Towarzystwa Literackiego i Amerykańskiej Akademii Sztuki i Literatury. Wykłada w Massachusetts Institute of Technology oraz w Girton College w Cambridge.

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

Tym, o których jest moja opowieść

Część pierwsza

Rozdział pierwszy

MamaPapa siedzą obok siebie na skrzypiącej ogrodowej huśtawce ustawionej na werandzie, z której roztacza się widok na ogród, podjazd i bramę. Nogi zwisają im swobodnie, a ze stóp zsuwają się klapki. Przed nimi stoi niski, okrągły stolik nakryty spłóviałym obrusem z wyhaftowanymi, pośrodku kwiatami. Ustawiony za huśtawką wentylator owiewa ciepłym powietrzem ich głowy i karki.

Zazwyczaj opuszczone trzcinowe maty, mające chronić mieszkańców przed słońcem i kurzem, są zwinięte. Siedzące na nich gołębie gruchają czule i czyszcząc się z kleszczy, trzepoczą skrzydłami. Na kamiennej posadzce rozbryzgują się ptasie odchody, a w powietrzu leniwie unosi się pierze.

Rodzice bujają się rytmicznie, tam i z powrotem. Wyglądają na pogrążonych w drzemce - mają zamknięte oczy - ale czasem zamieniają ze sobą słowo.

- Na podwieczorek będą dziś racuszki. Czy to ci wystarczy? Może chcesz też słodycze?

- Tak, tak, tak. Koniecznie. Słodycze też. Powiedz kucharzowi. Zaraz powiedz kucharzowi.

- Uma! Uma!

- Niech Uma powie kucharzowi...

- Uma!

Uma staje w drzwiach; jest rozdrażniona.

- Czemu tak krzyczycie?
- Idź, powiedz kucharzowi...
- Przecież szykuję paczkę. Kazaliście, żeby była gotowa, zanim przyjdzie syn sędziego Datta. Właśnie miałam ją przewiązać sznurkiem.

- Ach tak... Racja, racja. Zrób paczkę. Musi być gotowa, musi być gotowa, kiedy przyjdzie po nią syn sędziego Datta. Co posyłamy Arunowi?

- Herbatę i szal...
- Szal? Jaki szal?
- No ten, który Mama kupiła...
- Mama kupiła?

Uma, zniecierpliwiona, wzrusza ramionami.

- Brązowy szal, który Mama kupiła Arunowi w Kashmir Emporium, Papo.

- Brązowy szal z Kashmir Emporium?

- Tak, Papo. Na wypadek, gdyby Arun marzył w Ameryce. Pozwól, że dokończę teraz pakowanie, bo jeśli paczka nie będzie gotowa, kiedy przyjdzie syn sędziego Datta, będziemy musieli wysłać ją pocztą.

- Poczta? Nie ma mowy. To bardzo kosztowne... Zbyt kosztowne. Zbędny wydatek, skoro syn sędziego Datta jedzie do Ameryki. Przyszykuj paczkę. No już, Umo!

- Najpierw powiedz kucharzowi, że smażone racuszki nie wystarczą. Papa chce, żeby były słodyczne.

- Słodyczne też?

- Tak, mają być słodyczne. Jak wrócisz, podyktuję ci list do Aruna. Zabierze go syn sędziego Datta. Kiedy on wyjeżdża do Ameryki?

- Chcecie, żebym teraz pisała list? Przecież jestem zajęta robieniem paczki dla Aruna...

- No tak, no tak... Paczka dla Aruna... Racja, naszykuj paczkę. Niech będzie gotowa, skoro ma ją odebrać syn sędziego Datta.

Uma gwałtownie się oddala, mamrocząc coś pod nosem. Siwe włosy ma w nieładzie, a jej krótkowzroczne oczy rzucają wściekłe spojrzenia zza szkieł okularów. Rodzice, chwilowo wytrąceni ze

swojego relaksu nagłym pojawieniem się tylu spraw – słodczy, paczka, list – znowu zaczynają się bujać, powoli i rytmicznie. Wpatrują się w rozedrgane od upału popołudniowe powietrze, jakby zaraz miała się z niego wyłonić taca z herbatą, słodczymi i racuszkami – ich wybawienie. Huśtają się coraz bardziej zniecierpliwieni.

Mama-i-Papa. MamaPapa. PapaMama. Trudno sobie wyobrazić, że kiedykolwiek prowadzili osobne życie, że byli różnymi osobami, a nie MamąPapą, których wymienia się jednym tchem. A jednak Mama przyszła na świat w mieście Kanpur, jako córka kupca, i żyła wśród swej niezwykle licznej rodziny aż do osiągnięcia szesnastu lat, kiedy to wyszła za Papę. Z kolei Papa, mieszkający w Patnie syn urzędnika podatkowego owładniętego niepohamowaną ambicją zapewnienia mu możliwie najlepszego wykształcenia, zdobywał nagrody za wyniki w nauce, grywał w tenisa, odbył studia prawnicze, w końcu zaś otworzył praktykę adwokacką. O tym wszystkim dzieci dowiadywały się głównie ze starych zdjęć, oprawionych w ramki świadectw, zasłabiałych medali i z rozmów z odwiedzającymi ich krewnymi. MamaPapa nieczęsto wspominali czasy, gdy nie byli jeszcze nierozdzielni. Kilka anegdot, opowiadanych przez każde z osobna, nabierało ogromnego znaczenia z uwagi na swoją wyjątkowość i rzadkość.

Mama wspominała: „Kiedy byłem młoda, dziewczętom w rodzinie nie dawano słodczy, orzechów i łakoci. Kupionymi na targu specjalami obdzielano chłopców. Ale nasza rodzina nie była znów tak bardzo ortodoksyjna, żeby matka i ciotki nie podrzucały nam po kryjomu jakichś smakołyków”. I śmiała się na wspomnienie tych słodkich tajemnic.

Papa opowiadał: „Kiedy byłem dzieckiem, nie mieliśmy w domu prądu. Jeśli chcieliśmy się uczyć, siadaliśmy z książkami pod uliczną latarnią. W czasie sesji egzaminacyjnej zbierała się tam gromadka studentów głośno powtarzających materiał. Trudno było się skupić na prawie, gdy inni recytowali twierdzenia matematyczne, sanskryckie

wersety czy daty z historii Anglii. Ale mimo wszystko dawaliśmy sobie radę i zdawaliśmy egzaminy”.

Papa wspominał: „Najlepszy student na moim roku uczył się całymi dniami i nocami. W końcu dowiedzieliśmy się, jak był w stanie tego dokonać. Otóż podczas sesji obcinał sobie rzęsy, które, odrastając, kłuły go, gdy tylko zamykał oczy. Budził się więc i wracał do nauki”.

Opowieści Papy zwykle dotyczyły wydarzeń bolesnych, a mamine jedzenia – zwłaszcza słodczy – oraz spraw rodzinnych. Chwile wspomnień były jednak krótkie i rzadkie. Mogłyby prowokować pytania – tyle niedomówień otwierało drzwi wyobraźni – gdyby nie to, że dzieci niezbyt wiele uwagi poświęcały przeszłości. MamaPapa w obecnej postaci wystarczali im w zupełności. Ich połączone istnienie zapewniało im wystarczającą powagę i autorytet, których nie trzeba było wzmacniać, odwołując się do osobnych losów każdego z nich.

Czasem, na mgnienie oka, można było ujrzeć rodziców takich, jakimi byli dawniej, zanim połączyła ich werandowo-huśtawkowa egzystencja bliźniąt syjamskich. Za każdym razem Uma czuła się wówczas zaskoczona, a nawet zażenowana, jak na przykład wtedy, gdy Mama grała z przyjaciółkami w remika. Robiła to po kryjomu, gdyż Papa żywił szlachetną pogardę do wszelkich form hazardu. Idąc do sąsiadów z przeciwka na przedpołudniową partyjkę, nie unosiła wprawdzie sari do kolan i nie przeskakiwała przez żywopłot, ale jakimś dziwnym sposobem sprawiała wrażenie, jakby właśnie tak robiła. Jej zachowanie – oraz niezwykle słownictwo, jakim posługiwała się przy grze – stawało się zalotne, dziewczęce. Policzki zaokrąglały jej się, gdyż wpychała do ust betel¹, którym ją częstowano (Papa krzywił się także i na tę słabość), a jej oczy błyszczały łobuzersko, gdy odrzucała głowę do tyłu i wybuchała nieskrępowanym śmiechem. Przyciskała karty do piersi i zalotnie trzepotała rzęsami. Kiedy Uma zaglądała jej przez ramię albo Aruna przytulała się do niej, by sprawdzić, czemu tak cieszą ją trzymane w ręku karty, Mama opędzała się od córek jak od pary uprzykrzonych much:

– Idźcie sobie. Idźcie pobawić się z dziećmi!

A potem wracała na lunch, powoli przeciskając się przez dziurę w żywopłocie i ciągnąc za sobą obie córki; w pobliżu werandy była już taka jak zazwyczaj: chłodna, opanowana, strofująca, lekko znużona.

Kiedy Papa po powrocie z biura pytał, co też porabiały przez całe przedpołudnie, z westchnieniem opadała na oparcie i wachlując się, mówiła:

- Cóż można było robić w taki upał? Nic.

Papa zawsze zachowywał się tak, jak komuś takiemu jak on wypadało, a nawet jeszcze stosowniej. Wezwawszy rano kierowcę, wsiadał do podstawionego samochodu z tak zaaferowaną miną, jakby najmniejsze opóźnienie groziło kataklizmem. Jeśli zdarzyło im się wstąpić po niego do biura, zastawały go za ogromnym biurkiem, niczym do biura, zastawały go za ogromnym biurkiem, niczym satrapę jakiejś niewielkiej prowincji, ocierającego kark ogromną chustką do nosa, wydającego suche polecenia swojej sekretarce, maszynistce i klientom. Każdym gestem i miną podkreślał swój autorytet, aż w końcu zamknął się w nim jak w ołowianym, polyskującym pancerzu.

Mama z namaszczeniem pakowała jego strój do gry w tenisa i posyłała go przez gońca biurowego, który specjalnie po to przyjeżdżał na rowerze. Przypiąwszy torbę do bagażnika, oddalał się, pedałowując, a Mama, głęboko zamyślona, odprowadzała go spojrzeniem aż za bramę i na ulicę.

Uma zastanawiała się wtedy, czy Mama wyobraża sobie, jak Papa ukryty za stojącym w rogu biura ceratowym parawanem przebiera się w strój tenisowy, i zasłaniała dłonią usta, by stłumić rodzący się chichot.

Oczekując powrotu męża, Mama siadywała samotnie na ogrodowej huśtawce. Roztargnionym wzrokiem śledziła z werandy zabawy dziewczynek, które na wyschniętym trawniku układały ogródek z kamyczków, liści, patyków i płatków nagietka. Kiedy kłóciły się zbyt hałaśliwie, interweniowała rozdrażnionym głosem.

Światło popołudnia zanikało stopniowo w wieczornej mgiełce, gdy w końcu zajeżdżał samochód. Papa wysiadał z niego dziarsko

i wymachując rakieta, dużymi krokami pokonywał schody na werandę. Ubrany był w posłane przez Mamę białe bawełniane spodenki, których szerokie nogawki zwisały luźno wokół jego chudych kolan. Metalowe sprzączki pozostawiły na pasku ślady rdzy. Mama często ganiła pracza za to, że przynosi uprane szorty z plamami od rdzy. Złościła się na niego także za łamanie dużych białych guzików, bo potem, z okularami na nosie i zaciśniętymi w skupieniu ustami, musiała przyszywać nowe. Papa miał też na sobie białą koszulkę z krótkim rękawem, obszytą zieloną lub niebieską lamówką. Błyszczał od wysiłku, poczucia sukcesu i potu.

- Wygrałem z Śankarem sześć do pięciu i sześć do dwóch - informował, mijając je w drodze do garderoby, a wokół kostek opadały mu sfatygowane bawełniane skarpety. Z pomrukiem zadowolenia rzucał na podłogę rakieta tenisową.

Na werandzie nikt nie odzywał się ani słowem. Mama siedziała olśniona jego sukcesem, jego męstwem. Po chwili rozległo się stukanie wiadra i chlapanie wody. Rura kanalizacyjna w ścianie domu wypływała stróżkę mydlin, która płynąc przez suche liście i piasek, wpadała do mulistej kałuży pod krzewami bazylii i jaśminu, gdzie obserwowały ją dziewczynki.

Wracając do rzeczywistości, Mama wołała:

- Uma! Uma! Powiedz kucharzowi, żeby przyniósł Papie lemoniadę!

I Uma biegła.

Były też, oczywiście, spotkania towarzyskie - nieodłączny element kariery zawodowej Papy - niektóre z udziałem dzieci. Na przyjęciach Papa raczył się zazwyczaj niewielką porcją whisky z wodą i zaczynał dowcipkować, co rodzina uważała za poczynania dość przerażające. Jego żarty, zawsze skierowane przeciwko innym, podszyte były agresją, choć skrywaną pod pozorami jowialnej wesołości panującej podczas uroczystej kolacji czy przyjęcia w klubie. Kiedy już ciętymi uwagami sprawił, że jakiś niższy rangą sędzia pokoju wiał się z zakłopotania, albo starszemu sędziemu przypominał wstydlivy

incydent, co skwitowane zostało jedynie kwaśnym skrzywieniem warg – wybuchał niepohamowanym śmiechem. Dowcip uważał za tym lepszy, im większe wywołał zażenowanie. Traktował to jak zwycięstwo – z odrzuconą do tyłu głową, śmiejąc się triumfalnie, zdawał się zyskiwać na wzroście, którym natura obdarzyła go raczej skromnie. Można się było dać oszukać i uwierzyć, że Papa dobrze się bawi. Rodzina nie miała jednak złudzeń: w rzeczywistości był roztrzęsiony, poruszony sytuacją, w której upatrywał potencjalne zagrożenie dla własnej pozycji. Rodzina przyjmowała więc z ulgą powrót Papy do normalnego stanu: do zwykłej małomówności w sytuacji, kiedy jego autorytet nie był narażony na szwank.

Trudno byłoby dziwić się dziecku, które uznałoby, że podstawowym zadaniem Papy jest groźne marszczenie brwi, a Mamy – strofowanie. Skoro wszyscy dorośli muszą odgrywać jakieś role, a takie były role rodziców, dzieci nie kwestionowały tego wyboru. Przynajmniej dopóty, dopóki były małe.

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

Rozdział drugi

Papa każe wyprowadzić samochód. Mija nieco czasu, zanim kierowca przebierze się w uniform, a potem zapanuje silnik i wyjedzie z garażu (odkąd Papa zakończył karierę zawodową, samochód i kierowca również przeszli na częściową emeryturę i rzadko korzysta się z ich usług). Papa stoi na stopniach werandy, patrząc na powyginaną i przerdzewiałą karoserię samochodu, który, zgrzytając i jęcząc, powoli, niechętnie toczy się do przodu. Spojrzenie Papy jest pozbawione wyrazu. Na słowa Umy, że: „Któregoś dnia ten nasz rover stanie i już więcej nie ruszy – taki jest stary!”, w ogóle nie reaguje, jakby postanowił nie słyszeć jej i nie usłyszał. W końcu ów relikwiarz zajezdza przed portyk. Papa siada z przodu, obok kierowcy, i obaj czekają, aż Mama i Uma usadowią się na tylnych siedzeniach. Papa zabiera je na wycieczkę do parku. Przez całą niedzielę chodził tam i z powrotem po werandzie, co jakiś czas ćwicząc wymachy ramion ze złączonymi dłońmi lub robiąc przysiady, jakby w ten sposób składał hołd czasom, kiedy to grywał w tenisa, był młody i pełen sił. Mówił kobietom, że potrzebny im jest ruch, że za dużo czasu spędzają zamknięte w domu. Teraz więc zabiera je do parku.

Zatrzymują się przy zaniedbanej bramie parkowej, bardzo wysokiej i szerokiej, wykutej z żelaza w zawile, piękne wzory. Papa wyskakuje z auta i pośpiesznie wbiega za bramę. Niestety, w niedzielny wieczór w parku jest pełno ludzi. Siedzą grupkami, odpoczywając lub spacerując pomiędzy grządkami lilii kanna i naokoło wyschniętej fontanny. Na drodze Papy wyrasta tyle przeszkód – dziecko z balonikiem, matka z synkiem ciągnącym ją za skraj sari – że musi

przeć do przodu z nisko opuszczoną, wysuniętą do przodu głową i rozstawionymi łokciami.

Mama i Uma usiłują za nim nadążyć, ale wkrótce tracą go z oczu. Przystają, by obejrzeć krzew przycięty na kształt pawia, kwitnące drzewo palisandru o osadzonych na nagich gałęziach kwiatach w kolorze delikatnego, zamglonego fioletu, odsuwają się od psa, który przed chwilą wytarzał się w błocie na ścieżce zalewanej wodą z gumowego węża, a teraz otrzepuje się zapamiętałe, rozpryskując brudne krople; po chwili stają jak wryte na widok pomarszczonego starca w muślinowym dhoti¹ o tak delikatnym splocie, że praktycznie przezroczystym, całkowicie pochłoniętego wykonywaniem ćwiczeń jogi, jakby był zupełnie sam, a nie w pełnym spacerowiczów parku. Widząc takie publiczne popisy, Mama szczerzej otula ramiona końcem sari i cmoka z dezaprobatą.

Daleko z przodu dostrzegają Papę: stawia wielkie kroki, jakby śpieszył na umówione spotkanie, nie przystaje, nie patrzy na nikogo i na nic. Mama fuka z irytacją i mówi Umie, że resztę spaceru odbędą we dwie, nie próbując dogonić Papy. Spokojnie okrążają park, trzymając się ścieżki pomiędzy ogrodzeniem a grządkami lilii kanna i ignorując sprzedawców orzeszków ziemnych i lodów, którzy wtykają swój towar przez pręty ogrodzenia i zachęcają do kupna. Pikantny zapach prażonej ciecierzycy sprawia, że Umie w ustach zbiera się ślinka; postanawia jednak nic nie mówić. Co jakiś czas miga im postać Papy: jego olśniewająco białe spodnie i energiczny krok sprawiają, że łatwo go zauważyć pośród beładnie poruszającego się tłumu. Rzęsy Mamy trzepocą lekko, gdy go rozpoznaje. Z podziwu? Z dumy? Uma nie umie tego określić.

Właśnie kończą swoją rundkę przy bramie, gdzie czeka samochód i kierowca, gdy zjawia się również Papa. Punktualność isticie magiczna. Oczywiście, on w tym samym czasie okrążył park trzykrotnie, ale nie pozwala sobie na zadowolenie.

- Wsiadamy - mówi niecierpliwie. - Czekałem na was. Jesteście tak powolne. Tak powolne. Wsiadamy. Wsiadamy. Prędezej. Prędezej!

Uma, gramoląc się do środka za Mamą, pyta:

- Ależ, Papo, czemu się tak śpieszymy?

Przez całą drogę do domu Papa wydaje kierowcy polecenia:

- Skręć tutaj. Tutaj, nie tam. Teraz przyspiesz. Stój! Nie widzisz, że masz przed sobą autobus? Dobra, teraz gazu. Szybciej. Wleczesz się jak żółw!

- Czemu tak się śpieszymy? - płacząco dopytuje się Uma.

Po powrocie do domu Mama zawija się w zwoje sari i szepcze słabym głosem:

- Czy powiedziałaś kucharzowi, żeby miał pod ręką lemoniadę?

Uma idzie sprawdzić, co z tą lemoniadą, MamaPapa zaś, zrzucając z nóg sandały i sadowią się na huśtawce, kilkakrotnie zmieniając pozycję; znów stają się dwiema połówkami jednej całości, trwającymi przy sobie i pokazującymi światu tę samą, nieodgadnioną twarz.

Kiedy goście pytali rodziców o samopoczucie, odpowiedzi udzielało tylko jedno z nich, zwykle w pierwszej, rzadziej w trzeciej osobie liczby pojedynczej, ale zawsze w imieniu obojga. Gdy Papa wyrażał swoje zdanie na temat pochodzącego z ich okręgu parlamentarzysty albo oceniał szanse rządu w następnych wyborach, Mama milczała, bo mówił również za nią. Kiedy Mama opowiadała o wyprzedaży, na której zamierzała kupić ręczniki, lub o zwwyżce cen srebra, stwarzającej, być może, okazję korzystnego sprzedania stołowych sreber, Papa mruczał tylko potakująco - jego myśli biegły tym samym torem. Różnice zdań zdarzały im się bardzo rzadko. Jeśli więc Mama zabroniła Arunie założyć naszyjnik z pereł na poranny seans w kinie „Regal” czy też Papa zdecydował, że Uma nie powinna brać dodatkowych lekcji muzyki, nie miało sensu odwoływanie się do drugiego z rodziców o zmianę werdyktu. Było to po prostu niemożliwe.

Oczywiście, zdarzało im się sprzeczać i dyskutować. Prawdę mówiąc, nawet codziennie i zawsze o tej samej porze - kiedy ustalano jadłospis. W tym przypadku nie wypadało ustępować pola bez walki: pogwałciłoby to rodzinną tradycję.

To wprost zdumiewające, jak inspirująco na te debaty wpływał jadalniany stół. Nie sposób przy tym nie zauważyć, że ostateczna decyzja niczym nie różniła się od wstępnej propozycji - jeśli więc

Mama sugerowała podanie na początek zwykłej baraniny z ryżem w sosie curry, to właśnie ta potrawa zjawiała się na stole, niezależnie od tego, ile pomysłów wyszukanych dań, takich jak pilaw, kebab, kofta, rozważano w trakcie rozmowy... Należało to do rytuału.

Dziewczęta wiedziały od dawna, że między rodzicami nie ma żadnych nieporozumień ani niezgody. Różnice zdań zdarzały się zresztą tak rzadko, że tylko one, w najdrobniejszych szczegółach znające wszelkie odcienie domowego nastroju, mogły je zauważyć.

Jednak i w tej rodzinie doszło raz do poważnej różnicy zdań, porównywalnej ze stanem klęski żywiołowej. Pozostawiła ona domowników w stanie szoku, jak po pożarze czy powodzi. Sprawczynią była Mama, a nie Papa.

Uma była już dojrzałą kobietą – przynajmniej według niektórych oznak – Aruna zaś właśnie odkrywała, co to znaczy mieć miesiączki, kiedy Mama zaszła w ciążę.

Dziewczęta długo nie orientowały się w sytuacji; nie rozumiały, skąd te szepty po kątach, ukradkowe rozmowy, wizyty lekarza i u lekarza, narady ze starszymi krewnymi. Mama z oczami spuchniętymi od łez łkała, leżąc w poprzek łóżka. Papa za groźną miną ukrywał zmartwienie i zmieszanie. Atmosfera wprost nabrzmiała tajemnicą. Dziewczętom aż uszy płonęły od podsłuchiwania. Chodziło o coś niepojętego, na swój sposób pikantnego, nawet lubieżnego; choć nie rozumiały używanych słów, wyłapywały ogólny ton, a nawet sens wypowiedzi. W grę wchodziło coś obrzydliwie fizycznego – seksualnego. To słowo cisnęło im się na usta, więc zaciskały je z całych sił, by się przypadkiem nie wypsnęło. Umie stawał przed oczami widziany kiedyś na bazarze obraz oszalałej ze strachu świni, wyrrywającej się z rąk rzeźnika; przypominała też sobie skowyt i poszczekiwanie psów parzących się za domkami dla służby i polecenie Papy, by ogrodnik przepędził je kijem. Wizja Aruny była bardziej cywilizowana: podciągnięte w górę halki i sari, wierzgające w nocy pod moskitierą nogi. Gołe nogi. Nieraz dobiegały do nich zza zasłon zduszone odgłosy. W tym domu

nigdy nie zamykano drzwi: zamknięte drzwi oznaczały tajemnice, brzydkie, wstydlive tajemnice. Zamknięte drzwi były dla Mamy sygnałem, że należy przeszukać pokój i wykryć obrzydlistwo, nieczystą plamę. Nieczystą, bo z ludzkiej krwi, z kobiecej krwi. Rodziców nie należało jednak podglądać. Można było tylko w zawstydzeniu spuścić głowę. Usiłowały mimo to usłyszeć jak najwięcej. W końcu dowiedziały się od służących - aja² powiedziała im to, co było oczywiste dla każdego, kto nie był zupełnie ślepy: była to późna ciąża.

Mama za wszelką cenę chciała ją usunąć. Nigdy nie czuła się gorzej; z płaczem mówiła, że gotowa jest przejść choćby przez piekło, byleby ustały dręczące ją ataki nudności. Ale Papa się uparł. Mają dwie córki, tak, zupełnie dorosłe, każdy to widzi, ale nie mają syna. Czy którykolwiek mężczyzna wyrzeknie się szansy doczekania syna?

Z ciążą trzeba było się więc pogodzić. Mama całe lato przeleżała w łóżku na wznak, nękana wymiotami i zmęczona własną tuszą . Wiszący nad nią wentylator sufitowy skrzypiał jednostajnie, a po ścianach, cmokając, ganiały się gekony. Siedząca u jej stop aja - ongiś opiekunka malutkiej Aruny, wezwana teraz z rodzinnej wioski, w której spędzała stare lata - masowała Mamie nogi, wydając przy tym uspokajające i pocieszające dźwięki. Uma i Aruna, które bądź to ulegały ponurej atmosferze pokoju chorej, bądź też dawały się porwać pełnemu ekscytacji oczekiwaniu, ledwo zauważyły, kiedy nastąpił wreszcie kres tego trudnego lata i nadszedł monsun. W lepkim, parnym powietrzu zaroiło się od komarów, gekony nie nadszały łapać niezliczonych much, a Mamę przewieziono do Kliniki Położniczej i Pediatrycznej Królowej Marii, gdzie na świat przyszło dziecko, dla którego tak wiele wycierpiała - syn.

Syn.

Cała rodzina wstrzymała oddech, skupiona wokół szpitalnego łóżka Mamy, zapatrzona w ten cud świata. Pomimo że Aruna powiedziała: „Jaki czerwony! jaki brzydki”, zanim uciszono ją kuksańcami, i chociaż Uma wykazała się nieumiejętnością trzymania na rękach istotki tak

kruchej i cennej, obie miały pełną świadomość wyjątkowości całego zdarzenia.

Twarz Mamy, wciąż jeszcze napięta po ciężkim porodzie, zaczęła się rozluźniać i przybierać wyraz naznaczonej cierpieniem dumy, który, co zauważyła po pewnym czasie Uma, od tej pory stale na niej gościł. Na początku jednak to Papa przyciągał ich uwagę. Póki był w szpitalu, tłumił emocje i powstrzymywał je całą siłą woli. Twarz miał aż wykrzywioną z wysiłku, pot ściekał mu po szyi i zalewał koszulę. Jedynym sposobem wyrażenia uczuć, na jaki sobie pozwolił, było wydawanie ostrym głosem poleceń pielęgniarkom, ai, dziewczętom, a nawet leżącej w łóżku Mamie. Następnie czym prędzej zabrał córki do domu, nie zerknąwszy nawet na syna. Prawdę mówiąc, odwracał od niego wzrok, jakby fizyczna obecność tak drobnej istoty nie miała nic wspólnego z tym tak ważnym wydarzeniem i jakby się obawiał rozczarowania.

Zaraz po przyjeździe do domu, gdy tylko wyskoczył z samochodu i wbiegł do środka, wykrzyczał swoją nowinę wszystkim obecnym. Zebrani przy drzwiach służący i starsi krewni mieli okazję zobaczyć najbardziej zadziwiający widok w swoim życiu – jak Papa w euforii przeskakuje, jedno po drugim, trzy stojące w holu krzesła, niczym młodzieniec skaczący przez kozioł, i z rękami wyrzuconymi w powietrze, z rozwianymi włosami wykrzykuje: „To chłopiec! Chłó-o-piec! Arun, nareszcie Arun!”. Kiedy bowiem oczekiwali drugiego dziecka, on, spodziewając się syna, wybrał dla niego imię: Arun. Tymczasem urodziła się druga córka. Rozczarowani rodzice nazwali ją Aruną.

Uma i Aruna, które z portyku obserwowały całą scenę, przytuliły się do siebie, oniemiały z wrażenia.

Uma nigdy nie przestała się dziwić temu nieprawdopodobnemu zdarzeniu, o wiele bardziej pamiętnemu niż same narodziny brata. Jeśli zaś chodzi o Arunę, był to dla niej początek trwającego całe życie buntu i przemożnej potrzeby potwierdzania własnej wartości.

Mama, po powrocie do domu jeszcze słaba, wyczerpana i nerwowa, próbowała nauczyć Umę, jak należy prawidłowo składać pieluszki,

rozcieńczać mleko wodą, kołysać do snu płaczące wniebogłosy niemowlę pokryte potówkami niczym śladami ognia. Niestety, Uma – jak zwykle niezgrabna i nieodpowiedzialna – upuszczała i rozbijała różne przedmioty, a od swojego stanowczo za małego, zbyt drogiego i delikatnego brata odsuwała się z przerażeniem.

- Muszę odrabiać lekcje – mówiła matce. – Mam rozwiązać zadania matematyczne i napisać wypracowanie...

- Zostaw to wszystko – odpowiadała Mama ostro.

Wcześniej też się zdarzało, że Mama wydawała Umie podobne polecenia. Nigdy nie brała poważnie obowiązku odrabiania prac domowych, bo sama nigdy do szkoły nie chodziła. „Miałyśmy prywatnego nauczyciela”, odpowiadała nonszalancko, kiedy dziewczęta pytały ją, jakim cudem nie musiała chodzić do szkoły. „Przychodził do naszego domu, żeby uczyć nas... trochę śpiewu... trochę... hm...”, traciła wątek. „Uciekałyśmy przed nim i chowałyśmy się”, przyznawała ze śmiechem.

Uma próbowała jej wytłumaczyć, że jeśli nie odrobi lekcji, dostanie uwagę i będzie musiała zgłosić się do Matki Agnes.

- Ale my już nie pošlemy cię więcej ani do Matki Agnes, ani do szkoły – oznajmiła w końcu Mama.

Wyraz twarzy Umy, która podniosła wzrok znad stosu krzywo poskładanych pieluszek, chyba ją zirytował. Poruszyła niecierpliwie palcami u stóp i powiedziała ostro:

- Nie wrócisz już do szkoły, Umo. Zostaniesz w domu, żeby pomóc przy Arunie.

Uma rozejrzała się wokół siebie, szukając wyjaśnienia i pomocy. W sprawach nauki na pewno stanie po jej stronie Papa. Sam był wykształcony i to właśnie on posłał ją do szkoły klasztornej.

Umie nie byłoby łatwo wyrazić słowami, dlaczego szkoła klasztorna tak ją pociągała. Banalnie brzmi wyliczanie takich szczegółów, jak choćby: ścisłe zasady porannego apelu, na który nie wpuszczano dziewcząt, jeśli podczas oględzin przy drzwiach wejściowych okazało się, że miały niewyczyszczone pantofle, zaniedbane lub pomalowane

paznokcie, a we włosach kolorowe wstążki zamiast białych; pianino, na którym siostra Teresa wygrywała melodie pobożnych hymnów, bębniąc zawsze z takim samym przekonaniem i w jednostajnym rytmie; Matka Agnes, cudownie wyciszona i skupiona, trzymająca modlitewnik, z którego czytała głębokim, spokojnym głosem, dochodzącym do ich uszu jak szmer powoli płynącej, ciemnej rzeki; porządek w jej biurze, do którego Uma dość często trafiała, wysyłana z uwagami od nauczycielki, i po którym chciwie się rozglądała, podziwiając wiszący na ścianie wizerunek złotowłosego Jezusa tulącego baranka, oleodruk nad kominkiem, przedstawiający załzawioną twarz dziecka wpatrzonego w róg złoconej ramy, gdzie lśni srebrzysta gwiazda, czy też stojący na biurku wazon z polerowanego mosiądzu, zawsze pełen świeżych, ułożonych w sztywny bukiet białych kwiatów, czyste bieżniki z białego lnu na szczycie regału z książkami i ogromny, głośno tykający zegar stojący przy drzwiach, widok z okna na ślicznie utrzymany ogród, długie werandy otaczające dziedziniec, na który można było patrzeć, ale gdzie nie wolno było wchodzić, bo rosnąca tam trawa była zbyt cenna, a róże zbyt rzadkie...

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

Prawdopodobnie wyliczyłyby gry, w które grywały z zapalem na boisku przy akompaniamencie wibrującego dźwięku gwizdka panny D'Souzy. Opisałyby nieskazitelną czystość gabinetu lekarskiego, gdzie znaleźć można było lek na każdy ból głowy, każde stłuczenie i skaleczenie; nowiutkie zeszyty o poliniowanych kartkach i szeleszczące sucho, pachnące farbą podręczniki wręczane na początku każdego semestru wraz z nowusienką linijką i gumką. Wspomniałyby bezdyskusyjnie mądre powiedzonka i przysłowia powtarzane przez zakonnice („Co się stało, to się nie odstanie”, „Zaszyj dziurkę, póki mała”), obchody Bożego Narodzenia i Wielkanocy oraz imieniny świętych patronów.

Wyznałyby, jak cieszył ją porządek, racjonalność całego systemu, w którym każdy element spełniał swoją funkcję i istniał w konkretnym celu. Wyjaśniłyby, jakie zadowolenie dawał jej fakt, że żadne pytanie nie pozostawało bez odpowiedzi, żadna wątpliwość bez wyjaśnienia. W pierwszej klasie głośniej od pozostałych dzieci śpiewała:

„Wiem, że Jezus kocha mnie,
W Biblii znajdę słowa te”.

Wiedziała, że w małej kaplicy, do której nie wpuszczano dzieci, odbywało się coś tajemniczego. Tylko czasami przez krótką chwilę udawało się jej zobaczyć zakonnicę pogrążoną w modlitwie, klęczącą przed ołtarzem, gdzie pośród cieni przebłyskiwała złocista smuga. Miało to jakiś związek z najgłębszymi uczuciami, jakich doznawała podczas wspólnej modlitwy, przy powtarzaniu słów:

„Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego.
Pozwala mi leżeć na zielonych pastwiskach.
Prowadzi mnie nad wody, gdzie mogę odpocząć:
orzeźwia moją duszę”.³

Najwyraźniej ten zakonny świat, dla postronnego obserwatora tak prosty i surowy, ukrywał obszary ciemne i tajemnicze, rozświetlone złocistymi pasmami nadziei.

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

Nie mogła więc zrozumieć, dlaczego inni, na przykład Aruna, przeklinali go i tak mocno nienawidzili. Czemu? Uma zjawiała się w szkole pierwsza i codziennie robiła wszystko, żeby zostać po ostatnim dzwonku. Dla niej lekcje nigdy nie trwały dostatecznie długo. Jakoś musiała przetrwać koszmarne weekendy, kiedy na nowo wciągano ją w wir trywialnych spraw domowych, które wydawały jej się przeciwieństwem tego życia, jakie chciała prowadzić – pełnego powagi i dostojeństwa; a potem przychodziły niekończące się wakacje letnie, podczas których jej banalna egzystencja traciła w upale ostatnie resztki sensu. Uma niecierpliwie oczekiwała piętnastego lipca, dnia rozpoczęcia następnego semestru nauki. W pośpiechu kupowała nowe podręczniki, radowała się ich świeżością, obkładała w szary papier, by pozostały czyste, i nie mogła się już doczekać dnia, kiedy zacznie z nich korzystać.

Co prawda, nie dało się zaprzeczyć jednemu nieprzyjemnemu faktowi: otóż mimo szaleńczego entuzjazmu, jaki Uma przejawiała wobec nauki, była bardzo słabą uczennicą. Dlaczego? To takie

niesprawiedliwe! Zakonnice cmokały, kręciły głowami, wzywały Mamę do szkoły albo posyłały uwagi Papie i każdego roku po egzaminach mówiły z wielkim żalem, że, niestety, Uma nie otrzymała promocji, bo nie zdała ani jednego egzaminu: niedostateczny z angielskiego, hindi, historii, geografii, arytmetyki, rysunków, a nawet z robót ręcznych! Czegokolwiek się tknęła, wszystko obracało się przeciwko niej. Wciąż na nowo wycierała w zeszytach błędy coraz to brudniejszą i mniejszą gumką, pociła się nad rachunkami, usiłowała zapamiętać daty, nauczyć się poprawnie pisać „rzeżucha” i za każdym razem spotykała ją porażka. W jej dzienniczku aż czerwono było od ocen niedostatecznych. Inne dziewczęta, w których dzienniczkach dominowała optymistyczna zieleń i błękit, symbole sukcesu i aprobaty, w dniu rozdania świadectw spoglądały na nią z litością, ona zaś płakała ze wstydu i uczucia zawodu.

Teraz więc Mama oznajmiła z poczuciem słuszności:

- Wiesz, że znowu nie zdałaś. Po co w takim razie chcesz wracać do szkoły? Zostań w domu i opiekuj się młodszym bratem. - A widząc, że Uma drża ręce, gdy wciąż usiłuje składać pieluszki, nieco złagodniała.

- Jaki pożytek ze szkoły, skoro wciąż powtarzasz klasę, Umo? - spytała rozsądnie. - W domu będziesz szczęśliwsza. Nie będziesz musiała odrabiać lekcji. Jesteś już duża. Spróbujemy znaleźć ci męża. Nie zaraz - dodała, na widok przerażonej twarzy Umy. - Ale niedługo. Do tego czasu będziesz pomagać mi przy Arunie i nauczysz się obowiązków gospodyni. - Ujęła Umę za rękę. - Potrzebna mi twoja pomoc, córko - powiedziała słodko, z błaganiem w głosie.

Uma wyrwała dłoń z uścisku.

Wydawnictwo Akademickie DIALOG

specjalizuje się w publikacji książek dotyczących języków,
zwyczajów, wierzeń, kultur, religii, dziejów
i współczesności świata Orientu.

Naszymi autorami są znani orientaliści polscy
i zagraniczni, wybitni znawcy tematyki Wschodu.

Wydajemy także przekłady bogatej
i niezwyklej literatury pięknej krajów Orientu.

Redakcja: 00-112 Warszawa, ul. Bagno 3/219

tel.: (0 22) 620 32 11, (0 22) 654 01 49

e-mail: redakcja@wydawnictwodialog.pl

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

Biurowisko handlowe: 00-112 Warszawa, ul. Bagno 3/219

tel./faks: (0 22) 620 87 03

e-mail: biurohandlowe@wydawnictwodialog.pl

<http://www.wydawnictwodialog.pl>